

7.

Joachim się zmienił. Wydawał się wyższy, pewniejszy siebie i dużo bardziej nieobecny. Na próżno wyczekiwałam chasydzkich wybuchów emocji. Joachim bez przerwy ssał fajkę, mimo że nie palił. Pomyślałam, że ja pewnie też nie jestem taka sama jak dawniej.

Mieli już dwoje małych dzieci, chłopców, którzy urodzili im się w krótkim odstępie czasu. Mieszkali we wspinałym starym domu na obrzeżach Kopenhagi. Stał na wzgórzu, otoczony dużym ogrodem, niedaleko morza i małego portu rybackiego; różne fragmenty okolicy przypominały ilustracje do baśni dla grzecznych i bogatych dzieci. Budynek wypełniały stare meble, wełniane dywany, ale nie było pianina ani gramofonu, tylko staromodne radio, które rzadko włączano.

Któregoś wieczoru Joachim i Bente poprosili, żebym popilnowała dzieci, wyjątkowo chcieli pojechać do miasta i obejrzeć film z Marylin Monroe. Zostałam w domu, w dziecięcym pokoju z chłopaczkami, którzy nawet nie zadali sobie trudu, żeby popłakać. Gdy zasnęli, oglądałam dom. Poprzedniego dnia obserwowałam jednego z nich; miał bardzo długie, ciemne rzęsy i ciemną, niemal czarną linię wzdłuż powiek. Wpatrywałam się w jego twarz, chcąc znaleźć podobieństwo do mojego przyjaciela. Joachim stał obok.

— Nie potrzebuje make-upu, co? — powiedział.

W jednym z pokoi znalazłam stary barek, wyjęłam z niego butelkę sherry i wypiałam dwa duże kieliszki, po czym dolałam do butelki wody. Nie miałam wyrzutów sumienia; ryzyko, że Joachim i Bente to odkryją, było minimalne.

Prawdę mówiąc, nudziłam się. Nudziłam się przez cały czas, z wyjątkiem dni, gdy po otrzymaniu dokładnych instrukcji o połączeniach i godzinach odjazdu pociągów jeździłam do Kopenhagi.

Zazwyczaj Joachim czekał na mnie o umówionym czasie przy kotwicy na Nyhavn. Któregoś dnia zaproponowałam, żebyśmy poszli na spacer do parku albo wypili kawę w jakiejś knajpie; w porównaniu z polskimi wydawały mi się bardzo eleganckie i bardzo spokojne. Ale brakowało mi kawiarni, prawdziwych kawiarni, takich jak te w Krakowie. Joachim nie zgodził się; czekała na niego Bente, przecież zajmuje się dziećmi i jednocześnie pisze pracę, która miała zrewolucjonizować po-

glądy na afrykańskie dialekty. Z lęku przed długim i skomplikowanym wyjaśnieniem nie spytałam, na czym ta rewolucja miała polegać.

Joachim dodał, że gdy tylko dzieci podrosną, wybiorą się wszyscy do Afryki, zamieszkają wśród tubylców i będą robić z nimi wywiady.

Spytałam, czy w mieście jest klub jazzowy, w którym moglibyśmy posłuchać muzyki; tak żarliwie pragnęłam odzyskać Joachima takiego, jakim był niegdyś, nieco tajemniczego, ale ciepłego i otwartego, oddanego przyjacielom indywidualistę.

— Są w życiu sprawy ważniejsze niż muzyka i tym podobne. Ty jeszcze tego nie odkryłaś — odparł z uśmiechem wyższości.

Ależ tak, odkryłam! A jednak miał rację. Osiągnęłam wiek, w którym powinnam wyjść za mąż, mieć dzieci, wyprowadzić się od Lidii. By uczynić rozmowę bardziej osobistą i wznieść się do poziomu, który mógłby mierzyć się z wzorcowym poziomem jego życia, powiedziałam, że krótko przed wyjazdem z kraju poznałam pewnego mężczyznę z Węgier i zakochaliśmy się w sobie. Niewiele w tym było prawdy, ale dodałam, że dostałam ich kopenhaski adres i być może do mnie napisze.

Reakcja Joachima zdumiała mnie:

— Dzwoni do niego! — zawołał zachwycony. — Powiedz, że może przyjechać cię odwiedzić. — Po chwili zastanowienia dodał jednak:

— Te twoje historie miłosne! Dlaczego zawsze znajdujesz sobie facetów, którzy albo daleko mieszkają, albo

nie wiedzą, czego chcą? Potrzeba ci kogoś z sąsiedztwa, kogo dobrze znasz, kogo zawsze znałaś.

Joachim mówił ostrym, władczym tonem. I nagle, na środku ulicy, zaczęliśmy się kłócić.

— O czym ty bredzisz? — krzyczałam. — Oni wszyscy poumierali albo wyjechali! A ty? Ty przecież nie wzięłaś sobie kogoś z sąsiedztwa!

Nie odpowiedział. Pomyślałam o Marii. O Marii, która opuściła go dla wysokiego, jasnowłosego wiosłarza. Która była od niego o głowę wyższa. Która z taką samą żarliwością malowała i wiosłowała.

Joachim przez krótki czas był sam. Maria zamieszkała z nowym narzeczonym, ale nadal chodziła na jego koncerty, choć swojego wysokiego, jasnowłosego wiosłarza nigdy ze sobą nie przyprawiała.

A pewnego wieczoru na koncert przyszła Bente w towarzystwie barwnej gromadki młodych cudzoziemców, stypendystów podobnie jak i ona. Przedstawiła się Joachimowi sama, w trochę niepewnej, ale poprawnej polszczyźnie, a potem przedstawiała go swojemu dworowi, na przemian po angielsku i francusku. W przerwie wszyscy chcieli porozmawiać z cudzoziemcami, dotknąć ich, przekrzykiwano się. Nie brał w tym udziału tylko jasnowłosy chłopak w okularach, choć Joachim kilka razy go przywoływał. Siedział z nosem w książce, od czasu do czasu podnosił głowę i uśmiechał się, bardziej do siebie niż do nas. Spotkałam go już wcześniej, miał na imię Kornel.

Chwilę później zobaczyłam, że Bente i on stoją w milczeniu i patrzą na siebie. Byli tego samego wzrostu. Nie uśmiechali się.

— Joachim — odezwałam się — w jaki sposób przeżyłeś? Nigdy cię o to nie pytałam.

— Nie pamiętam — odparł, teraz już swoim dawnym miękkim głosem. — To dlatego nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nawet nie wiem, kiedy się urodziłem. Wydaje mi się, że straciłem część pamięci. Jak gdyby panowała wtedy ciemność. Pierwsze, co pamiętam, to żydowski dom dziecka w Krakowie.

Jechaliśmy potem w milczeniu pociągami. Po prawej było morze, po lewej krowy i pola golfowe.

Krowy stanowiły ważny szczegół mojego pobytu u Joachima i Bente. Niemal codziennie chodziłam sama na spacer. Szłam tak długo, aż zaczynały mnie boleć nogi, i wtedy zatrzymywałam się, żeby popatrzeć na krowy. Były dobrze odżywione, dobrze wychowane i z pewnością także dobrze wykształcone. Ich los był z góry postanowiony, tyle że nie miały o tym pojęcia, bo nikt im tego nie powiedział. Byłyśmy do siebie podobne.

Czasem dochodziłam aż do Humlebæk, ale wtedy nie miałam pojęcia, że jest tam muzeum. Kiedyś Joachim bardzo lubił malarstwo, w Krakowie często odwiedzali z Marią muzea. Któregoś razu powiedział do mnie:

— Maria nauczyła mnie, że istnieją książki i obrazy. Nie tylko dźwięki. Nie tylko muzyka.

Maria nosiła włosy obcięte na pazia, krótka grzywka tworzyła piękne obramowanie jej gotyckiej twarzy. Ich

pokój w Krakowie zapełniały jej olejne obrazy o mocnym wyrazie: zdecydowanie wybijające się postaci, farba nałożona niemal brutalnie. Ale Maria również rysowała, i rysunki tuszem były zaprzeczeniem jej płócien; delikatne, pełne szczegółów wizerunki nagich lub półnagich postaci biblijnych, męskich, a zarazem kruchych. Rysunki Marii były tak cielesne, że bałam się na zbyt do nich zbliżyć. Pewnego dnia rozmawiałam o nich z Bente.

— Maria myśli, że jest Leonardem da Vinci albo Michałem Aniołem — powiedziała.

A potem dodała z czułym uśmiechem:

— Rysuje ciało Joachima. Jego mięśnie, żyły, jego nerwy.

8.

Dom, w którym tymczasowo mieszkali, należał do jej rodziców, pełnej uroku starszej pary; on był znanym okulistą i hobbystycznie zajmował się archeologią. Bente opowiadała, że dom zbudowano według wizji rodziców. Był to staromodny budynek z dachami na różnych poziomach, i mimo że się wyróżniał, pasował do architektury tej okolicy; nie było tu jednakowych domów, z cudem graniczyło znalezienie posesji, które sprawiałyby wrażenie pięknych i harmonijnych. Najpiękniejsze domy miały słomiane dachy. Zdumiewało mnie to, przyjechałam z kraju, gdzie najnowszym wynalaz-

kiem był beton, a słomiane dachy kryły tylko domy najbiedniejsze, których mieszkańcy nie mieli krewnych w Ameryce czy Kanadzie, ani w wyższych organach partii.

Gdy wysiedliśmy z pociągu, czułam, że krótka rozmowa, którą odbyliśmy, i być może także kłótnia, zbliżyły nas do siebie. Weszliśmy do domu. Z westchnieniem ulgi zdjęłam buty na wysokich obcasach. Joachim i Bente obserwowali mnie. Zauważyłam ich uśmiechy, ten sam uśmiech u obojga, na wpół serdeczny, na wpół litościwy.

— Tak naprawdę są bardzo wygodne — powiedziałam przepraszająco, spoglądając na ich stopy. Oboje chodzili w drewniakach.

— Paluchy krzywo ci rosną — odezwał się Joachim. — Porównaj stopy Bente i swoje. Jej palce rosną prosto. No, ale ona nie nosi wysokich obcasów.

Mój dobry humor znikł, po poczuciu intymności nie został nawet ślad. Bente zdjęła drewniaki; przez chwilę w pobożnym milczeniu obserwowaliśmy jej stopy. Zdrowe, czyste, nudne stopy o niepolakierowanych paznokciach.

— A Maria? Czy nie chodziła w butach na wysokich obcasach? — spytałam.

— Nie — odparła Bente — ona chodziła w trumniakach, pamiętacie?

Zaczęliśmy się śmiać. W latach poprzedzających wyjazd Joachima trumniaki były w modzie. Robiło się je z tenisówek w nieciekawych kolorach. Wycinaliśmy

środek z dziurkami na sznurówki i farbowaliśmy je na czarno. Trumniaki były piękne, nasze stopy sprawiały w nich wrażenie uwodzicielsko bezbronych.

Wspólne wspomnienie wprawiło nas w dobry nastrój. Poszliśmy do kuchni i podczas gdy Joachim przygotowywał obiad, ja i Bente rozmawiałyśmy o dobrych starych czasach w Krakowie, gdy wszyscy troje byliśmy bardzo młodzi, a oni szaleńczo w sobie zakochani.

Polszczyzna Bente nigdy nie przestawała mnie zdumiewać. Urodziła dzieci Joachima, doskonale mówiła jego językiem, czy można wymagać czegoś więcej? Poznała, oczywiście, Marię. Lubiły się. Teraz, gdy siedzieliśmy przy wielkim stole jadalnym i popijaliśmy brandy ojca Bente, mój małostkowy, złośliwy rewanż wydał mi się absolutnie nie na miejscu. Oni byli dorośli, ja niedojrzała.

Gdy skończyliśmy jeść, poprosiłam Joachima o pozyczenie mi grubych skarpet. Włożyłam je i wypróbowałam jedną z par drewniaków Bente; wydały mi się bardzo ciężkie i robiły dużo hałasu, ale gdy spostrzegłam, jak oboje ich ucieszyło, że okazałam wolę poprawy, zaczęłam w nich chodzić. Od tamtego dnia wybierając się na pociąg do Kopenhagi, pakowałam do torby moje obcasy i wychodziłam w drewniakach. Przez krótką chwilę czułam się jak osoba uprawniona do stąpania po duńskiej ziemi. A na stacji zamieniałam drewniaki na moje eleganckie pantofle.

Krótko po tym epizodzie Joachim i Bente oznajmili, że urządzają przyjęcie. Rozpoczęły się przygotowania,

byłam zdumiona, jak bardzo byli hojni; mieliśmy jeść krewetki i różne pasztety, francuskie sery i torty i pić czerwone wino zmieszane z brandy i kawałkami pomarańczy. Wiedziałam, że nie mają pieniędzy; żyli przecież z uniwersyteckiej pensji Bente i nie chcieli przyjmować pomocy jej rodziców. Na moje pytanie, czy Joachim nie mógłby zarabiać grą na pianinie, oboje wybuchnęli śmiechem.

— Z dwójką dzieci?! Biorę małego na rower, jadę z nim na uniwersytet i wykładając, karmię go piersią — powiedziała Bente.

— Nie boisz się, że spadnie z roweru? — spytałam. Bałam się o ładniejszego z chłopców, tego o długich rzęsach i ciemnej linii wzdłuż powiek.

— Jeżdżenie ze mną dobrze mu robi — odparła Bente, a Joachim szybko ją poparł:

— Tu wychowuje się dzieci zupełnie inaczej niż w Polsce.

Uśmiechnęli się do siebie, szczęśliwi. Ta absolutna harmonia zbiła mnie z pantałyku.

Nudziłam się i w napięciu oczekiwałam przyjęcia. Aż nadszedł ten dzień, zjawili się goście. Przyszli punktualnie, każdy trzymał w ręku banknot albo monety, które grzecznie wkładali do półmiska. Niektórzy mieli ze sobą owoce i ciasteczka. Jakiś młody człowiek przyniósł butelkę alkoholu, ale nim zdążyłam zobaczyć, co to jest, butelkę zanesiono jako prezent do sąsiedniego pokoju.

Obserwowałam Joachima. Na jego opalonym, muskularnym karku przez chwilę spoczywał pasek słońca.

Podszedł do mnie i wskazał na kobietę o ogromnej głowie i krótko ostrzyżonych blond włosach; była kanciana, na grubych, różowawych nogach miała ciężkie, czarne drewniaki.

— Piękna głowa — powiedział — piękna kobieta.

W pierwszej chwili pomyślałam, że mówi o niej jako o modelu dla malarza, a potem, że może jest złośliwy. To jednak zupełnie do niego nie pasowało. Na koniec dotarło do mnie, że naprawdę powiedział to, co myślał. I że w tym kraju to, co brzydkie, jest piękne, a piękno jest banalne i sztuczne.

Wszyscy rozmawiali, ja także. W każdym razie na początku. Był słoneczny dzień i mogliśmy się cieszyć ogrodem; goście zgadzali się co do tego, że jest piękny. Ale ja zachowywałam już ostrożność w wypowiedaniu własnego zdania o czymkolwiek. Zresztą nikt mnie o nic nie pytał. Rozmawiano o dzieciach w ogóle i o dzieciach gospodarzy w szczególności. Potrawy zjedzono, alkohol wypito, nikt nie był pijany. Po dwóch godzinach wszyscy poszli do kuchni, żeby razem pozmywać. Gdy przyjęcie się skończyło, zobaczyłam koło zmywaka duży stos jednorazowych talerzy. Starannie je myłam i ustawiałam według rozmiarów, gdy wszedł Joachim; właśnie położyli dzieci do łóżek.

— Nie myje się papierowych talerzy, po prostu się je wyrzuca — uśmiechnął się.

Spostrzegłam, że nie jest pewien, co z nimi zrobić.

— Bente zdecyduje — orzekł.

Skąd miałam o tym wiedzieć? Nie przyszłoby mi do głowy, że coś takiego jak jednorazowe talerze w ogóle istnieje.